

(N^{er.} 4.)

DZIEDZILIJA

CZYLI

Pamiętnik Płocki,

pięknéj Literaturze poświęcony.

Pismo peryjodyczne dla użytecznéj zabawy

Rozumu i Serca.

Miesiąc Październik Rok 1824.

SPIS RZECZY

W Numerze 4. Tomie II. zawartych.

	<i>stronice</i>
1. Szrama, Pieśń III. i IV.	1.
2. Bajka, Czeczotka i Przepiórka	28.
3. Tyren, z Klajsta	30.
4. Próżność	30.
5. Bajka, niezręczny Ptasznik	32.
6. Bajka, Kula i Pigulka z trucizną	34.
7. Jan Kochanowski w Czarnolasie	35.

*Do tego Numeru przyłączony jest Walec
Fr: Weckiego również jak do trzeciego.*

DZIEDZILJA

CZYLI

PAMIĘTNIK PŁOCKI,

pięknej Literaturze poświęcony.

*Pismo peryjodyczne dla użytecznej zabawy
Rozumu i Serca.*

ROK PIÉRWSZY.

TOM II.

Październik, Listopad, Grudzień,

1824.

*Kto w Bogu i w pracy swej pokłada nadzieje,
Za tym szczęście nadchodzi, wszystko mu przyśpieje.*

GAWIŃSKI.

W PŁOCKU,

NAKŁADEM i DRUKIEM K. KULIGA.

Wolno drukować.

w Warszawie dnia 26. Października 1824.

J. K. SZANIAWSKI,

Rad: Stanu Dyr: Jlny Wych: Publicz:

SZRAMA.

(Dokończenie).

PIEŚŃ III.

Tulając się po lasach posepny Szrama, świeżemi, ziół listkami ciężką zagoił ranę. A odzyskawszy utracone siły w zamierzoną puścił się drogę. Wśród upału skwarne go słońca, przebywszy lasy i bagna, po kilkodniowej podróży przybył do obozu Polskiego, razem prawie z wieścią o zamordowaniu Gnięwomira Starosty.— Ogłaszano, że Rycerz ogromnej postaci, nazwiskiem Szrama był jego zabójcą, że teraz ma się w obozie znajdować, i znaczną obciywano nagrodę, ktoby go żywym lub umartym stawil.— Gwar wojennego ludu rozchodził się daleko, ciągły ruch widać było wszędzie. Ci się zabawiają spiewaniem, ci broń swoję na nowe sposobią boje, inni poili konie, inni nakoniec zebrawszy się w koło, głośnie rozmawiali.

Przed jednym z obszerniejszych namiotów, grono siedzącej młodzieży żwawą prowadziło sprzeczkę. Zbliżył się do nich Szrama, a usłyszawszy, że sam był ich rozmowy przedmiotem

z ciekawością uważał wszystkie ich słowa. Nie jeden młody przechwalca obiecywał sobie pozyskać za jego głowę nagrodę, nie jeden żartował z niego, i ostrze przegryzał go słowy. Jeden szczególnie młodzieniec, którego jeszcze włosy w złote się pukle zwiły, więcej nad innych zapalony, kilka słów groźnych wymówiwszy, zachęcał drugich, aby się z nim w Bukowinie szukać go udali. Kilku wraz tej podjęło się pracy, i zaczęli się do tej wyprawy sposobieć. Słyszając to Szrama, zaledwie mógł utaić boleść swego serca, oczy jego krwawym ogniem pały, krew żywiej krążyła, a gniewem oburzony pokilkakroć już się chciał targnąć na zuchwałych przechwalców, lecz zawsze bojaźń haniebną śmierci cofała już do miecza posuniętą rękę. Odszedł głęboką w sercu przechowując ranę.

Zemsta jednej jeszcze z hardych śmiałków wymagała ofiary, lecz własne bezpieczeństwo stawiło jej tamę. Ciężką to jest rzeczą, zwłaszcza dla dumnego umysłu, słyszeć szyderskie przekąsy, a niemódz upomnieć się za nie. Tą myślą zajęty Szrama w ponurym milczeniu opuścił obóz, i do pobliskiego schronił się lasu. Las ten czarny od mnóstwa rosnących buków Bukowiną był zwany. Tysiące różnych powieści powiadano o nim. Był zaczarowany, i miał być schronieniem duchów piekielnych, a żaden wę-

drowiec niemógł w nim bezpiecznie przebywać. Straszne jakieś widziadła i głos przerażający trwożyły przechodniów, wszystko zdawało się grozić niebezpieczeństwem.

Nie bez trwogi straszny Szrama w ten las ciemny się zapuścił. Wśród dnia nawet słońce niewiele tam miało przystępu przed gałęzistymi konarami buków, i niebieskie sklepienie gęstym było zasłonięte liściem. Wiatr nie dał się czuć w gęstwinie, miotając tylko wierzchołkami olbrzymich drzew, czynił przeraźliwy szelest. To wszystko połączone z wyobrażeniem o zaczarowanym lesie nawet rycerskie przenikało serce. W ten las puścił się śmiały Szrama, a ukrywając mimowolną trwogę, próżno sam przed sobą starał się ją tajić, każdy szelest zwracał jego niepewne spojrzenie, każdy pień, wśród cienia stojący, zdawał mu się być groźnym duchem, a wyobrażenia jego, pełna urojonych myśli, nieraz mu stawiła przed oczy widmo krwią zbroczone.

Już był daleko w głąb lasu zajechał, gdy wśród okropnego całej kniei milczenia, głos posępny, jakby z pod ziemi wychodzący, zdała wołać począł na niego. Z początku niezrozumiałe wyrazy coraz się wyraźniejszymi stawały. Tak jest, mnie to szukają, rzekł do siebie Szrama, mamże się, jak łania pierzchliwa przed myślami, w ciemnej ukrywać gęstwinie? tu im

dostoję, tu ich czekać będę, tu ich zwycięzę, lub zginę. To mówiąc chciał wstrzymać idącego konia, lecz ręka nieśmiała być posłuszną wahającemu się umysłowi. Bliższe, i coraz bliższe odgłosy taką trwogą serce jego przejęły, że Rycerz, co się niedawno wstydził uchodzić przed nieprzyjacielem, przestraszony, w nieprzystępnej gęstwinie szukał schronienia swój głowie. Myśl i bojaźń haniebnój śmierci, gdyby od przemogającej podchwycony był liczby, taką podała mu radę.

Długo jeszcze niepewny w ciemnym ukryciu zostawał, i nieraz, zniewagą poruszony, chciał wyjść, i sam się swoim prześladowcom pokazać, lecz taż sama bojaźń, co mu się ukryć kazała, wstrzymywała go zawsze, wahało się jego serce pomiędzy gniewem i trwogą, a zemsta i rozpacz naprzemian umysłem jego miotaly. — Postrzegł wreszcie tego samego młodziana, co się niedawno w obozie dumnie przechwalał. — Choża jego postać i nadobne lica były podobne do rumianej zorzy przy wschodzącym słońcu, a oczy i twarz palająca ogniem malowały rycerski jego zapał. Przebiegł całą knieję, szukając srogiego zabójcy, i ciągle jego powtarzając imię, miecz goły w każdym krzku utapiał. Przyglądał się Szrama zdaleka takiej odwadze młodzieńca, i zaledwie mógł dostać na miejscu.

Rzekł wreszcie do siebie. Niegdyś przytomną śmiercią gardziłem, tysiące kul i mieczów nie mogły mnie zatrwożyć, a dziś jednego lękam się młodzika, co jeszcze ani sił, ani doświadczenia niema” To mówiąc dobył pałasza, brzęknęło żelazo. Podniósł oczy wysmukły młodzieniec, i przysłuchiwał się w to, skąd głos wyszedł wpatrując się miejsce. A w tém zobaczył barczystego męża, w prawej ręce trzymającego miecz goły, lewą zaś prowadzącego rumaka. Zdziwiła go postać ogromna, serce jednak nieuznało trwogi. Kto iesteś? spytał odważnie. — Ten którego szukasz, odpowiedział Szrama, chcę wiedzieć, czego chcesz odemnie? Krwi lub miecza, krzyknął z odwagą młodzieniec, chcę, żebyś miecz twój u nóg moich złożył, dobrowolnie złożył, lub ci go gwałtem, odjąwszy życie, odbiorę. Miecz ten za ciężki dla ciebie, rzekł Szrama, lecz, że krwi żądasz, zaraz ci ją wytoczę. Po tych słowach obadwa poskoczyli ku sobie, i zwarli się z sobą orężem.

Kiedy pies zwinny z ogromnym dzikiem nierówną walkę rozpocznie, ostrzych kłów jego zręcznymi obroty unika, a trudząc go ciągle ze wszystkich stron mu zabiega; odyniec w swojej zaufany sile tym większym gniewem płonie, im słabszym swego przeciwnika mieni, i nakoniec w srogiój zapalczywości ostrym ująwszy go zę-

bem, przeraźliwie wyjącego odgania. Tak nasi walczyli Rycerze, nierówni wiekiem i siłą, lecz męstwem jednacy, długo w upornym sciérali się boju. Śmiały i zręczny młodzieniec niedostatek siły z winnemi nagradzał obroty; w długiej znużywszy się walce, w prawą od Szramy ugodzony rękę, upuścił pałasz błyszczący, i upadł na stratowaną ziemię, jak wysmukła topola, od gwałtownego powalona wiatru. Na słabych powiekach śmiertelny sen zdawał się osiadać, pierś jego pod ciężkim wzdymały się oddechem: w tém rzecze Szrama:— krwi chciałeś, masz ją: dość mi na tém, nie chcę ci życia odbierać, bo twoje ramie może być jeszcze pomocném Ojczyźnie.

To mówiąc, schował krwią zlany oręż, poczem nagle postrzegł trzech młodzieńców z prawej zbliżających się strony, wsiadł na konia, i zwolna z dumą się oddalił, a i wtenczas nawet drżało jego serce wstydem przejęte. Postanowił najpierwsze przyjąć wyzwanie, i albo wszystkich pokonać, albo zginąć od potrójnych ciosów. Lecz nieprzyszło do tego, młodzieńcy widząc towarzysza boju, rozciągniętego na ziemi własną krwią zbroczonę, niemysleli o zemście, lecz o wczesnej pomocy. Drogi ciężar wzięwszy na ramiona, zasłaniając oczy łzami rzewnemi żalane, do obozu go nieśli. Już ich widać niebyło

a jeszcze niespokojny oglądał się Szrama: wszystkiemu nieufać się zdawał, każde drzewo, każdy szelest poruszonych liści, każdy nawet powiew łagodnego wiatru wrogiem był jego.

Już się też słońce do zachodu schylało, już tylko wierzchy olbrzymich buków promień gasnący ozłacał. Cała natura łagodnością tęchła, błękitne Niebios sklepienie przyjemną obiecywało pogodę, a lekki powiew zefira, pomiędzy listki wpadając, wydawał szmer cichy. Wieczorne zorze na zachodzie już na swoje łono przyjmowały Króla światła, którego twarz ognista, jakby dziennym utrudzona biegiem, spocząc miała, aby po krótkiej chwili czystiejszym światłem zabłysnąć. Jeszcze pola i łąki cieszyły się blaskiem jego, chociaż już słabszym, kiedy wcześniejsza w Bukowińskiej puszczy noc osiadła. Posępny Szrama zdawał się wszędzie czarne napotykać cienie, strach go mimowolny ogarnął, powstały mu włosy. Sam jeden w tak okropnym lesie, wśród piekielnych duchów noc tę miał przepędzić. I on sam i koń jego potrzebował wytchnienia, stanął, i na zielonej pod gałęzistym bukiem położył się trawie. Lecz próżno na wszystkie przewracał się strony, sen słodki nieśmiał na jego zstąpić powieki, a jeśli zstąpił na chwilę, to tylko dla pomnożenia okropnej męczarni. Spał, czy też czuwał, zawsze

grożące przed oczami miał widmo, zawsze ma-
 się w posępnym wyobrażeniu snuły duchy
 i mary piekielne.

Lecz okropniejszy nad inne cięń młodego
 Wistawa ciągle mu towarzyszył, ilekroć sen
 miał zawrzec mu powieki, zbliżał się do niego,
 własną pokazując ranę, do serca miecz mu przy-
 suwał. Zerwał się przerażony Szrama, a tylko
 grubą widząc w koło siebie ciemność, rzekł
 z boleścią: nigdyż mnie, okrutny, prześladować
 nieprzestaniesz? czyż nawet i na tę chwilę
 spoczynku wroga i mordercy twego zawistnym
 okiem spoglądasz? Wtém głos jakiś podobny
 do gwaru skupionego ludu, głucho po całej
 rozchodzący się kniei, obił się o uszy. Zdre-
 twiał, bał się nawet oddechu wypuszczać, aby
 ten go niezdradził. Słucha, lecz, coby to było,
 pojąć niemoże: w krótkie jakiś niezwykły sze-
 lest i łoskot nastąpił, a eho po całej roznoszą-
 ce go pusezy, stokroć go powtarzając, stokroć
 okropniejszym czyniło.

W tak strasznym położeniu Szrama nieśmiał
 i krokiem postąpić, nieśmiał się nawet obejrzeć.
 Zdawało mu się, że już zbliżała się chwila
 śmierci, i już tylko czekał w milczeniu, kiedy
 te nocne mary zbliżą się do niego. W pośród
 wewnętrznego przestachu każdy łoskot, każde
 uderzenie było śmiertelnym jego sercu ciosem.

Posępna noc dodawała okropności temu poło-
 żeniu, błady Księżyc przez gęste przedziurając
 się liście, smutne rzucał światło, a niekiedy
 tłumem czarne przesuając się chmury, zupeł-
 nie jego ponurą zasłaniały tarczę. W strasznój
 pustyni, samotny, drżąc, jak słabe światełko po-
 chodni, za każdym szelestem z niecierpliwością
 oczekiwał jutrenki. Wystawiał sobie, że czas
 w tej nocy zapomniał o swoim biegu, lub, że
 spikniony, na jego udręczenie umyślnie leniwym
 postępował krokiem.

Zbliżała się nareście tak długo oczekiwana
 chwila, lazurowe sklepienie zwolna dziennym
 pokrywało się światłem, i zwiastowało szczęśli-
 wy powrot słońca różanego: już i ów straszli-
 wy łoskot zwolna ustawał, a w miejscu jego
 leśnych ptasząt śpiewy ożywiły serce ponurego
 samotnika, pełnego trwogi i zgryzoty. Wstał w to-
 warzystwie słońca, więcej nabrawszy odwagi,
 rozważając głęboko w umyśle wyryte wraże-
 nie nocnych okropności, wdał się w tę stronę,
 skąd ten przerażający gwar i łoskot wychodził;
 lecz wszędzie głucho tylko napotykał milczenie,
 i niczego niespostrzegł, coby mu podało myśl obja-
 śniającą. Błąkał się długo po lesie, lecz pró-
 żno swoją chciał zaspokoić ciekawość, i mino-
 wolnie był przynaglony gminnym o czarach u-

wierzyć powieściom. Niezrażony jednak przeciwnością, i sam przed sobą wstydząc się tej myśli, postanowił jedną noc jeseze w tej strasznej kniei przepędzić, i dojść koniecznie przy czyny tej okropnej wrzawy.

Trwał w swoim przedsięwzięciu aż do nocy. Rycerz samotny, lecz skoro czarne ciemności głuchą osłoniły puszcę, zdawało się, że odwaga jego z światłem dziennym zniknęła. — Gardził wprawdzie trwogą, niemógł jej jednak przystępu do swego serca zabronić, chwiała ona jego umysłem, tak dalece, że nawet żałował niewczesnej śmiałości, i radby był swego odstąpić zamiaru, lecz już zapóźno było. Z przyjściem nocy okropne rozpoczęły się huki, i nawet straszniejszymi się zdawały. Długo stał, do głazu zimnego podobny, osłupiałe w ziemię wlepił oczy, a w sercu jego wstyd z trwogą walczył. Przemógł wstyd naraście: dobywszy miecza, zawołał, ten nigdy jeszcze mego niezawiódł ramienia, z tym śmiało wszędzie pójść mogę. To mówiąc, zwał ostrogami konia, i puścił się szybko ku owemu straszliwemu łoskotowi.

Jechał z okropną w sercu trwogą, często nawet wrócić się miał zamiar, lecz wstyd reszty jego męstwa ożywił. W tém nagle straszny oczom ukazał się widok: w odległości widac

było gorejące ognie, przy których mnóstwo wielkie czarnych snuło się duchów. Wszyscy byli zajęci pracą, jak cienie znikome migać się tylko zdawali, a iskrzące się pochodnie, które każdy z nich w ręku trzymał wspaniały mogłyby widok wystawić, gdyby mu okropna nie-towarzyszyła trwoga. Zdrętwiał na to Szrama, oddech mu się w piersiach zastanowił; nie są to ludzie, pomyślał stojąc, i z dala się przyglądając, bo cóżby o tej porze, i z takim pośpiechem robili; po krótkim jednak zastanowieniu, niemęczką wyrzucając sobie bojaźń, rzekł; jakiemiż więc są istotami, jeżeli nie są ludźmi? mamże, jak trwożliwe dziecię, lub jak słaba niewiasta bać się, i utrzymywać, żem widział te piekielne mary, nieprzekonawszy się o tém, i przez to na ostre wystawiać się przekąsy; nie, to są ludzie, i o tém przekonać się muszę.

Zaledwo mało naprzód ujechał: stój, ozwał się głos jakiś straszliwy, na który dreszcz zimny przeszedł po ciele Rycerza. Stój, jeżeli ci miłem jest życie, gdy krok dalej postąpisz, śmierć cię niezawodna czeka. Stał Szrama, a obejrzawszy się, nic w koło siebie niewidział. Ścięła się krew w żyłach jego, pot mu zimny wystąpił na czoło, przywołałszy jednak zgasła już odwaga: ktokolwiek jesteś, rzekł śmiało, wiedz, że blahe nietrwożą mnie groźby, śmiercią mi

grozisz, a jak łan piérzchliwa w gęstwinie kryjesz się przedemną. Wyjdź i dowiedz czynem, że prawdę mówisz. Chciałem oszczędzić twe życie, ozwał się głos utajony powtórnie, lecz po nieważ niedajesz wiary moim przestrogom, muszę cię o ich pewności przekonać. Ucichł głos przenikający, którego każdy wyraz był piorunem dla serca Szrama, nastąpił szelest suchych gałęzi i liści, i w krótkce dwa straszliwe pokazały się widma.

O Nieba! krzyknął przerażony Szrama, cugle z drżącą wypuszczając dłoń, i tuż ciebie napotykam jeszcze? Ledwie ukończył te słowa, gdy koń jego niespodzianym przestraszony widokiem, w bok uskoczywszy nagle, w głąb lasu uniósł swego Pana, i ocalił mu życie. Ale czegoż niezwyciężony dotąd uląkł się Szrama? Poznał w tych strasznych postaciach, co się jego przedstawiały oczom, niewinne swego gniewu ofiary, Wisława ze Zbigniewem. Trudno dociąć, czy to ich duchy w samej rzeczy były, to tylko pewna, że nie inna była przyczyna przestachu naszego Rycerza. W trwodze i przerażeniu nagiął już i tak śpiesznie uchodzącego konia, bo mu się zawsze zdawało, że Wisław zawzięty tuż za nim postępuje, aby krwawej swój zemście dogodził. Niewiedział, w którą rumak uniósł go

stronę, pędził tylko, niedozwalając mu nigdzie zwolnić szybkich kroków.

Wyjechał nareszcie z okropnego lasu, i na obszerném ujrzał się błoni, które kręty strumień zielonemi krzewami umajony przerzynał. Pełen jeszcze okropnego wrażenia, jakie noc ostatnia na nim sprawiła, wolniejszym postępował krokiem. — Utrudzony koń zajął robiąc bokami, które biały pot okrywał. Przeprowadził go Rycerz do strugi, i puściwszy wolno, sam na zielonym rozłożył się brzegu, w ponurych zatopiony myślach. W takim pograżony zachwyceniu niepostrzegł nawet, kiedy jaskrawe słońce wzniosło tarczę złotą po nad wierzchy dębów i buków. Długo jeszcze rozważał los swój nieszczęśliwy, kiedy anielski śpiew jakiejś nadobnej dziewicy z głębokiego wywiódł go zachwycenia. Są tu więc ludzie, mówił do siebie, podnosząc się. — Z pomiędzy zielonej krzewiny dojrzał niedaleko młodą dziewczynę, zbieraniem jagód zatrudnioną, która tak przy swojej pracy nucila:

Niewiem, co wtedy dzieje się wemnie,
Gdy Staś zabiczy mi drogę,
Coś mi tak serce bije przyjemnie,
Że pojąć siebie niemożę.

Przy nim zupełnie jestem szczęśliwa.
A gdy odejdzie, drzę cała;
Tęskność mnie jakaś, smutek porywa,
I tylko płakaćbym chciała.

Gdy on się śmieje, lubię śmiech jego,
A gdy się smuci, ja płaczę;
Chciałabym czegoś.... lecz niewiem czego,
Bo przy nim serce mi skacze.

Gdy mówiąc o nim, kto go wychwala,
Ja niewiem, czemu się wstydzę;
Gdy go zaś zgania, gniew mnie zapala,
I wszystkiem zaraz się brzydzę.

Cóż to jest! co dziś dzieje się wemnie,
Gdy Staś zabieży mi drogę,
Coś mi tak serce bije przyjemnie,
Że pojąć siebie niemożę.

—
Szczęść stali z jej ostatniemi połączył się w
razy, obejrzy się, i zatrwożona postrzeżę
czystego Rycerza: widok jego strachem ją
raził, nie bowiem podobnego w życiu swe
nieznała. Jak bojaźliwa sarna, postrzegłszy
śliwca, bezpieczeństwo swoje nogom powie
tak nasza dziewica, nieznanym przerażona wi
kiem, z krzykiem uciekać poczyna. Próżno
łał za nią Szrama: niebój się, niebój nadob
nie-

niesłucha głosu jego, ucieka. Poskoczy za nią
Rycerz, i uchwyciwszy za ramie, stój: rzecze, ja
przecie człowiek jestem. Drżała w jego rękę.—
Pośpna Rycerza postać, brwi obwisłe, kurzawą
okryte, trwożyły niewinne serce.

Na zapytanie Rycerza drżącym odpowiedziała
głosem, że stara jej Matka w pobliskiej mieszka
dolinie, gdzie ją ona z bratem z pracy rąk wła-
snych utrzymuje. Prowadź mnie więc do niej,
rzekł Szrama. Z radością posłuszna była, a bo-
jąc się okropnego człowieka: który, z pośpną
miną prowadząc konia, szedł przy niej, podwa-
jała kroki. Zapytana, ile lat Staś jej liczy, niewin-
nym spłonawszy rumieńcem: ośmnaście, rzecze;
później westchnęła, mówiąc: on nie jest moim.
Ponury Szrama nic więcej niemówił, postępując
w milczeniu krętymi ścieżkami.— Postrzeżę na-
gle z toporem śpieszącego młodziana, co także
z Bukowińskiej kniei powracał, oczy jego nie-
zwykłym ogniem jaśniały. Nikczemny, wołał,
nie tak łatwo tę niewinną posiędziesz ofiarę,
przez moje chyba piersi do niej się przedrzesz.
Na ten głos Szrama dobył miecza, a widząc
słabego przeciwnika, niechciał napróżno niewin-
nej krwi rozlewać, domyślał się bowiem, że lub
kochankiem, lub bratem owę dziewczynę być
musi. Lecz, gdy młodzian zapalczywy wpadł na
niego z rozpaczą, Rycerz widząc, że niedawszy
Dziedzilija Tom II. Nr. 4.

mu odporu, życie mógłby swoje narazić, podniósł miecz, już miał ciężkiem razem pierśi młodzią ugodzić, gdy się zatrwożona dziewica o los swojego kochanka między walczących rzuciła. Rozstąpili się obadwa, groźnie spoglądając na siebie, jak dwie czarne chmury, jaskrawym rozerwane gromem. Wreście rzekł Szrama, czemu niebaczny chcesz potykać się ze mną? żaden zamiar ohydny w sercu mém się niejawiał, porzuć niebezpieczną walkę, i zaprowadź mnie do chaty, abym mógł spocząć u ciebie. Zdumiony Stanisław, badającym w nadobną kochankę wpatrywał się wzrokiem, która pomiészanych oczu podnieść na niego nieśmiała. Odważyła się wreście uwiadomić go o wszystkiem. Udali się więc razem do pobliskiej chatki.

Tam szczerze posępnego gościa przyjęto; rozniecony ogień rzucał blask migotliwy na wszystkie strony, ukazując oczom nie bogate, ale czyste sprzęty, a ochocza Kasia koło śniadania się krzątała, za nią Rycerz ponury smutne oczy obracał. Wybadywano go o różne zdarzyć mu się mogące przygody, i jak śmiał wśród nocy zapuszczać się w las ten ciemny, gdzie dosyć mieć trzeba wytrwałości i męstwa, aby go we dnie przebywać. Przekonanym był o tej prawdzie Szrama, lecz wolał milczeniem swoją pokryć przygodę, niż głosić straszne widziadła, które

się przecież z jego nieczgadzały przekonaniem.— Niechętnie zatem na ich pytania odpowiedzi dawał, i obojętnymi tylko zbywał ich słowy.

Dzień cały i noc tam przepędził Szrama, lecz tylko dla tém większego udręczenia. Niewinność w koło niego spoczęła, sny słodkie nad niemi bujały, jeden tylko zbrodniarz w pośrodku cnotliwych zostawał, lecz sen łagodny, jakby z trwoga, ociężałe jego omijał powieki. Widok spokojnie zasypiających był najokropniejszym dla niego, niemógł na miejscu doleżeć, z niecierpliwością powrotu dnia oczekiwał, bo noc czarna, czarnej jego duszy, piekła była obrazem. Żaden jeszcze promień przyjscia różanej niezwiastował zorzy, i zaledwie ranna jutrenka poczynala się budzić, kiedy już Rycerz posępny odjeżdżać był gotów. Zadziwieni tak nagłym odjazdem powstawali wszyscy. Na dobrą drogę przez Stanisława wyprowadzony, pożegnawszy się z nim czule, odjechał.

Jak po gwałtownej burzy, całą noc huczącej, miłym jest łagodny poranek majowy; tak po długim oddaleniu, po wycierpianych w obcym kraju przykrościach, widok ojczystej ziemi, wlewa czucie ślachtetne w serce każdego. Wracający Szrama do Ojczyzny doświadczył tego samego wrażenia, lubo go tam nowe tylko przygody czekały. Nie żona z otwartymi rękoma wybiędz naprzeciw niego miała, nie dzieci niewinne, ani cnotliwa kochanka, by stęsknieni, po długim niewidzeniu, radość mu z jego przybycia okazać, ale srogi wyrzut sumienia, zemsta i nienawiść wściekła. Taki obraz miałże rozweselić nieszczęsnego? Wycisnął mu tylko łyż boleści, łyż, co dawno na jego niepostały twarzy.

Mimo jednak tę srogość nieszczęsnego losu, chciałby był błyskawicę lotem na tém stanąć miejscu, gdzie Helena przebywa, chciałby być jak najprędzej u stóp jej, wyznać swoją miłość i winę, opisać wycierpiane dla niej nieszczęścia, których całą nagrodą, jeden uśmiech, jedna łza wdzięczności, śmiercią, pogarda być miała. Gniwał się na każdą przeszkodę zatrzymującą go na chwilę, a przy spoczynku z niecierpliwością na swego konia spoglądał, bo każda godzina zda-

wała mu się nieprzebytym oceanem czasu, w którym myśl jego tonęła. Zbliżył się wreszcie do Dniestru, czuł radość widząc z drugiej jego strony Polskie niwy, a przecie narzekał, że mu dość czasu przebycie jego zabierze. Rzucił się z koniem w szumiące rzeki bałwany, a pędem wody niesiony, przez głębokie tonie burzącego się żywiołu, po kilka kroć życie naraziwszy, przepłynął. Czegóżby nie dokazała miłość?...

Stanąwszy na drugim brzegu zsiadł z konia i ojczystą pocałował niwę, mówiąc; ziemio kochana, raz jeszcze oglądać cię mogę, lecz nie tak jak dawniej, wawrzynem sławy okryty. Wspomnienie to okropną w sercu jego odnowiło ranę, czarne myśli w umyśle snuć się mu poczęły i ponury smutek na twarz stroskaną wystąpił. Jechał, lecz nigdy drogą, bał się bowiem napotkać jakiego człowieka, bo każdy zdawał mu się być mścicielem zabitych. Umysł jego dziki odwykł od ludzi, od chwili pierwszej dokonanej zbrodni.

Trudno dawną odzyskać spokojność: skoro raz odbiegnie, nigdy niepowraca, nie zostawiając nawet śladu swojego pobytu. Serce, które jej się raz pozbyło, wszędzie okropną napotyka trwogę, i nosi na sobie piętno wykonanych zbrodni. — Nieszczęsny Szrama ciężkiego niémógł się pozbyć frasunku, co chwila nowe znajdował

męczarnie, co krok nowego napotykał wroga. Myśl czarna straszne mordy jego przywodziła pamięci, a kiedy usiłował napróżno o nich zapomnieć, stawał mu przed oczyma uprzedzający go Wisław, którego jasne niegdyś włosy, brudnym zasypane prochem, i piersi krwią zlane, bolesną rozpacz w sercu jego budziły. Nieraz w strasliwym zapale, chciał sobie życie odebrać, lecz jeszcze nie wszystkich doświadczył męczarni, co karą zbrodni być miały, niedoczekał jeszcze godziny, w której miał doznać okropniejszych katusz.

Stan jego duszy był coraz uciążliwszym: nigdzie niémógł znaleźć spokojności wytchnienia, a wszędzie straszliwa towarzyszyła mu zgryzota. Mijały godziny dnie i noce, srogi tylko wyrzut sumienia niemijał go nigdy. Las czarny, przez który przejeżdżał, i noc posępna, pomnażały okropność jego położenia. Na niebieskiem sklepieniu z wolna zbierające się chmury, i wiatr z cicha między listkami szemrzący, dżdżystą naturze nawałnicą groziły. Co chwila gwałtowniejszy wicher z szumem olbrzymich dębów poruszał ramiona, w tém grom błysnął, i szarpnąc chmury, spuścił nawałnicę. W pośród okropnych ciemności, tylko przy świetle migających błysków dalszą drogę odbywał.

Błądząc dość długo, i swojemu zlorzeczając loso-

wi, słabe w dalekości ujrzał światełko. Było mu ono gwiazdą przewodnią, do której dążył, tracił ją często z oczu, znowu odzyskiwał, i jakby za łudzącą ubiegał się nadzieją. Coraz wściekliej powstawała fala, od bijących do koła piorunów ciągłym ogniem jaśniały niebiosy, gdy przed ubogą stanął chatą. Już miał słabe wrota silném otworzyć ramieniem, ciekawość jednak wstrzymała go nieco. I cóż go tak nagle na progu wiejskiej, chaty zajęło? bałże się? nie; chciał tylko wiedzieć, o czém tak głośno rozmawiano. O jakież było jego zadziwienie, gdy usłyszał opisywany okropny zgon młodego Wisława. Zdrętwiał, dreszcz go przeszedł zimny, lecz w krótko dziki jakiś zapal ożywił w nim ducha, wszedł, i te jeszcze ostatnie sędziwego starca dosłyszał wyrazy: nigdy Bóg zbrodni nie puseza bezkarnie!

Wniście Rycerza przerwało mowę sfarcowi, trwoga wszystkie ogarnęła zmysły. Rzucił surowy wzrok Szrama, i postrzegł zdumiony na boku owego młodzieńca, z którym w Bukowińskiej kniei ciężką stoczył bitwę. Milczał, milczeli wszyscy, nikt nieśmiał przemówić. Pierwszy Kazimiérz się ozwał (to bowiem było imie młodzieńca): witaj, Rycerzu, niémogłeś lepiej jak do nas trafić! To mówiąc powstał, podał gościowi rękę, i posadził przy sobie; lecz napró-

żno umysł zgryzotą dręczony usiłował rozerwać. Wziął wręście do rąk lutnię, a stósując się do tajemnego smutku Rycerza, jękliwie budził wniej tony, i tak ostatnie swojej Ojczyzny klęski opiewał.

Ty, co niegdyś w słodkim rymie,
Bolesne kojąc cierpienia,
Miłości głosiłaś imie,
Jej roskosze i złudzenia.
O Lutnio! skarbie mój drogi,
Odmień dziś wesołe tony;
Niech jękliwie twoje strony
Nuca Rycerzów los srogi.

Jaskrawe świeciło słońce;
Pod skwarném niebem, dzień cały,
Ciągnęli kraju Obrońce,
Chciwi bohaterzkiej chwały.
Jest za Dniestrem miejsce ciemne,
Gdzie podług ludu powieści
Trwoga okropność się mieści,
Duchy i mary podziemne.

W ten las okropny, ponury,
Gdzie rozpacz zaległa z trwogą,
Wojsko nakształt czarnej chmury
Odważną wstąpiło nogą.

W pośród gałęzistych buków
Gwar się rozchodził jęczący,
A promień słońca błyszczący
Od ich odbijał się łuków.

Nagle, po krótkim milczeniu,
Łoskot okropny się wscyzna:
Jakby po niebios wstrząśnieniu,
Zachwiała się Bukowina.
Stuletnie wała się drzewa,
Gniotąc Rycerze i konie,
Ostatnia nadzieja w zgonie
Ginących mężów zagrzewa.

Ileż Matek nieszczęśliwych,
Na miejscu chlubnych wawrzynów,
Leją strumienie łez tkliwych,
Po stracie kochanych synów.
Ileż kochanek łyzy leje,
Przy grobach lubych młodzieńców,
Ileż, zamiast ślubnych wieńców,
Czarną żałobę przywdzieje.

Tam widząc smutny grobowiec,
Przy szczątkach tylu orężów,
Zdumiony spyta wędrowiec:
Tyleż zginęło tu mężów?
Nieraz wśród tego ukrycia,
Kość wojownika zbutwiałą
Potrafi nogą zuchwałą,
Czegoby nieśmiały za życia.

Skończył, a jeszcze głos jego obijał się w uszach przytomnych: uroczyste trwało milczenie, nikt się go przerwać nie ważył. Ozwał się na koniec Kazimierz, i opisywał czarną zdradę Wołochów. Westchnął, płakali przytomni, a posępny Szrama rozważał w ponurym umyśle, jaka była przyczyna tych strachów nocnych, którą taką w Bukowińskiej puszczy napełniły go trwoga.

Już się też Niebo, mglistym zaćmione obłokiem, przecierać zaczynało, milczący księżyc blade rozrzucał promienie, kiedy spokojna drużyna do spoczynku udać się miała. Szrama tylko posępny, co w każdym widział zbrodniarza, i który prócz swojej szabli nikomu więcej nieufał, czując, jak daleko sen słodki jego omijał powieki, wolał samotny wśród nocnej ciszy w dalszą zapuścić się drogę, niżeli z trwogą bezsenne trać godziny.

Nieszczęsny, im bliższym był celu swojej miłości, tym go większa niespokojność dręczyła: zgryzota, rozpacz i trwoga nigdy jego umysłowi wytchnąć nie dały. Okropną wszędzie niosąc w sercu ranę, zdawał się nic niewidzieć przed sobą, a łagodna cisza noce pogodnej, nieprzerwywała mu posępnego zachwycenia. Nagle stanął koń, podniósł Rycerz głowę zwieszoną, i już nie w ciemnym lesie, nie na kwiecistym błoni,

ale wśród grobów milczących się postrzegł.— Zdrętwiał, i zimny, jak marmur, stał w miejscu. Tu krzyż na pół spruchniały już się do ziemi pochyła, a w koło niego darniną pokryte mogiły; tam nad smutnemi zwłokami kamień polowy spoczywa, owdzie leżą zbutwiałe kości, które nowym przychodniom miejsca ustąpić musiały. Tu także spoczywali jego dziadowie, tu krewnych, przyjaciół ostatnie szczątki pochował: westchnął na to wspomnienie, i drżącą ręką łyż rzewne ocięrał.

Gdy takim tknięty obrazem, myśl swą do Boga podnosił, grobowy jęk przerwał zachwycenie jego. Zwraca w tę stronę bojaźliwe oko, i niezbyt daleko od siebie widmo postrzega, siedzące przy wynioślejszej mogile, którą płaczące brzozy i wierzby osłaniały swym cieniem. Pot zimny wystąpił mu na czoło, śmiertelna trwoga ogarnęła serce, wstydząc się jednak przestachu, jakiego w Bukowińskiej puszczy doświadczył, zsiadł z konia, aby się lepiej, niż w ten czas, czém było to widmo, przeświadczyć. Zbliży się, drżącą postępuje nogą, i jeszcze wątpiąc o swojej odwadze, w milczące i nieporuszone widmo nieśmiały wpatruje się wzrokiem. Słaby księżyc promień padał na twarz bladą młodzieńca.— To Wisław! okropnym głosem zawołał przerażony Szrama,

nogi pod nim chwiać się poczęły, i z drżącą dłońmi oręż mu wypadł.

Na ten odgłos siedzący zerwał się młodzieniec i wyrzekł z boleścią: ktokolwiek jesteś, poco przychodzisz mieszaći moją i tych umarłych spokojność? Zaledwie skończył te słowa, przy słabém świetle księżyca poznał nienawistnego Szramę: w oręż, krzyknął na niego, zginiesz, lub ja zginę! woła na mnie o pomstę krew Ojca mojego i zwłoki cnotliwej Heleny. Heleny! powtórz mi Szrama z boleścią, więc ona nieżyje? Tak, nieżyje, odpowiedział Wisław, twoje ją zbrodnie do grobu wpędziły, oto jęj mogiła. Na te słowa Szrama przenikającą poczuł w sercu rozpacz, a mając życie za ciężar: oto zbrodnie przed tobą, zawołał; bezkarnie oddycham, śmierć Heleny stała się śmierci mojej wyrokiem, umiera, lecz ty niedozwól, abym bezkarnie umierał; powtórz mi wszystkie moje zbrodnie, opisz zgon Heleny, abym wśród najokropniejszych męczarni zbrodniczą duszę wyzionał.— Nieszczęsny wyrzekł Wisław, chcesz, abym podwoił okropność losu twojego, uczynię zadość twemu żądaniu.— Pamiętasz, bo zapomnieć własne ci niedozwalał sumienie, kiedy wśród burzliwej nocy krwawą stoczyliśmy walkę. Ty lepiej wiesz zapewnić, co się w ten czas stało, bo ja od zmysłów i sił odbiezony, nieczułem nawet, że żyję. Po niejaki-

czasie wróciła przytomność, ale z nią razem wróciła boleść i nieprzejednana chęć zemsty.— Poprzysiągłem w ostatniem uniesieniu cieniom Ojca mojego, niewrócić do domu, aż tej ostatniej zadość uczynię potrzebie; i odtąd wszędzie twoje śledziłem kroki, lecz mi ich los zawistny nigdy odkryć nie dał, i gdyby nie zgon ukochanej Heleny, zemsta moja możeby nigdy nasyconą nie była. Niestety! tyle drogiej trzeba było ofiary, abym tak wielką przełamał przysięgę, abym do domu wrócił niezemszony.

Gdy się wieść o zamordowaniu Ojca mojego, i o innym zgonie rozeszła, nadobna Helena ponuremu oddała się smutkowi. Jęj melancholija z każdym dniem wzrastała, rumieniec młodości z wolna gasł na jęj twarzy, i nakoniec ostatnia śmierci zbliżyła się chwila. Konając, ze łzami jeszcze Wisława wspominała imię, i wymówiwszy przebaczenie zabójcy swojemu, niewinnie zakończyła życie.

Przybyłem, ale Niestety! zapóźno, bo już tylko martwe zwłoki zastałem. Rozpacz mnie ogarnęła, śmierć nad życie byłbym przeniósł z ochotą, gdyby chęć zemsty mojej niewstrzymała ręki. Tu spoczywają jęj zwłoki, tu zgon jęj opłakiwać co noc przychodziłem, tu ona sama będzie naszej walce przytomną. Weź oręż i nie-

zwlekaj szczęsnej chwili śmierci, lub pomsty za najdroższą kochankę.

Bolesne jęczenie z łona się Szramy wyrwał, pochwycił miecz i krwawym w koło tocząc, wzrokiem, zawołał: ja sam będę twoim mścicielem. To mówiąc, ogromny miecz obu rękami wepchnął w pierś zbrodniczą, i upadł na posępną Heleny mogiłę. Czarna krew tocząc się z piersi, zielony grób jej zbroczyła, i wsiąknął w tę ziemię, co jej szanowne pokrywała zwłoki. Okropne później o tym miejscu powtarzano wieści, duch jakiś, co noc na tym przesiadywał grobie, i puszczyk przeraźliwie huczał.

B A J K A.

CZECZOTKA i PRZEPIÓRKA.

Płocha Czeczotka, co wygląda ładnie,
Mysząc, że sercem każdego władnie,
Do wszystkich się mile wdzieczy,
Każdemu za stałość ręczy;
A skoro komu roznieć nadzieję,
Szydersko się potem śmieje.
Ta tedy próżna czeczotka,
W oczkach miła, w ustkach słodka,
Rzekła w Ptastwa zgromadzeniu:
„Słyszałam, jak słowiczek w gęstym drzewin cieniu

„Wywodził pienia ponure,
Widzę, że ten ptaszyna ma tkliwą naturę.
„Niewiele trudów użyję,
„Pod mą władzę go podbiję;
I tak go w pole wyprowadzę ładnie,
„Że hołd niosąc mym wdziękom na kolana padnie:
A gdy tak zręcznie ukończę intrygę,
„Pokażę mu potem figę.
Jeśli (o czém niewątpię) los mi to pozwoli,
„Będziemy się śmiać do woli.
„Bo co to za śmieszna postać,
„Ze słowika dudkiem zostać! „
W tym poważna przepiórka, która zna słowika,
Z wolna się do niej przymyka,
I temi nierozsądną zacznie gromić słowy:
„Niepsuj sobie darmo głowy.
„Nie znasz ty tego ptaszka, sztuczka to ostrożna,
„Niełatwo go uwiścić można.
„Słowik zna wdzięk miłości i ma serce tkliwe,
„Ale umie poznawać zalety prawdziwe.
„A te marne powaby, na któreś tak hardą,
„Potrafi mijać z pogardą.
„Jeśli znajdzie samieczkę, co kocha w istocie,
„Co równie, jak on, szczęście zasadza na enocie,
„Co sobie z świętych uczuć igraszki nieczyni,
„J gotowa z nim iednym żyć nawet w pustyni;
„Wtenczas wieńcząc miłością jej uczucia stałe,
„Poświęci jej wyłącznie swoje serce całe;
„Dla niej tylko żyć będzie, a nawet, tak tuszę,
„Gotów w tkliwych uczuciach wylać dla niej duszę.
„Pomnij moja Czeczótko, żeś się źle wybrała,
„Z niestałych sobie żartuj, gdyś sama niestała;
„Ale najlepiej zrobisz, chceszli żyć szczęśliwie,
„Kochaj tylko jednego, a kochaj prawdziwie.

TYREN

z *Klajsta.*

Tyren, chłopczyzna mały, pewnego wieczora,
Widział pięknego Amora.
Gdy trzepocąc skrzydłami, to w prawo, to w lewo,
Zlatywał z drzewa nad drzewo.
Ah! jak to piękny ptaszek! co za śliczne piórka,
Obym ja go mógł złapać, rzecz mały bzdurka.
Na to Ojciec sędziwy: Niech cię wdzięk nie ludzi,
Ten ptaszek zabija ludzi.

PRÓŻNOŚĆ.

Śmiertelniku! co w bystrym zawodu polocie,
O przeznaczenia swego niepomnisz istocie,
Zatrzymaj się na chwilę, i rozważaj zemną
Naukę wielkiej liczbie żyjących tajemną.
A jeżeli odkryjemy jaką prawdę śmiałą,
Uczcijmy za nią Bóstwo, co skarb myśli dało.
Jakże za marą szczęścia gonisz całe życie!
J chciałbyś je doścignąć w najwyższym zaszczycie.
Zapuć się tylko w siebie, i czém jesteś oceń.
Ramy biorą swą wartość od sztucznych poźłoceń.

Lecz

Lecz drewno zawsze drewnem: jakież to szaleństwo!
Z dostojnością człowieka mieszać dostojęństwo?
Czyliż jednego zdobi chwały blask fałszywy;
Gdy nędza tai wielkość wpośród wiejskiej niwy?
Blask najwyższy jest zawsze pożyczanym blaskiem;
Niech go czezą milijony wielbienia oklaskiem,
Niech przed nim korne czoła milijony schyłą,
Wszystko ustaje z życiem i z ostatnią chwilą;
A człowiek bez imienia, przed śmierci Aniołem,
Oprócz duszy jest prochem, jest ziemnym popiołem.
Gdzież więc ludzie ta wielkość, z której się szczyście;
I w którym, czy tu w ziemskim, czy w wiecznym
pobycie?

Jest ona i na ziemi, stąd początek bierze,
A tam z nieśmiertelnością ma wieczne przymierze.
Przedwieczny jój zasiłkiem, opieką Przedwieczny,
Jako wyszłej od niego w nim cel ostateczny.
Lecz daremnie tu wielcy, wielkimi być chcecie,
Jeżeli wam szczęście ludzi nieznane jest w świecie.
Ta pożyczona wielkość wnet opadnie z czoła:
A Bóg na ścisłą liczbę, Bóg, tam was powoła,
Gdzie nędzarz, co żył zawsze w ukryciu przed światem,
Równy ozdobionemu chwały majestatem!
Tak jest, z wysoka tylko natchnienie jój płynie,
Jój źródło i siedlisko w odwiecznej krainie.
Kto wierny powołaniu i Bóstwa skinieniu,
Tak żyje w dostojęństwie, jak w zaciszy cieniu;
Kto z Rzymianinem może te powtórzyć słowa:
„Tak się w każdym przypadku mój umysł zachowa,
„Tak postępuję w każdej mego życia chwili,
„Jakby mémi świadkami wszyscy ludzie byli;”
Kto wie, że marne blaski chwały nieprzyczynią,
Czyje serce jest prawdy i cnoty świątynią;

Kto zasługę prawdziwą umie godnie cenić,
 I nigdy za sąd prawy niezwykły się rumienić,
 Bo nim zawsze kieruje cnota przy rozumie;
 Kto sam skromny, a próżność pozostawił dumie;
 Kto stały w prawym celu, nieulegnie trwodze,
 Na prawdziwej wielkości znajduje się drodze;
 Wszystko inne przeminie, jako wodne fale,
 Jemu wieczność zaświeci w nieśmiertelnej chwale.
 Zniknie mniemana wielkość przed prawdy obliczem;
 Bóg sam tylko jest wielkim, a reszta jest niczem.

B A J K A.

NIEZRĘCZNY PTASZNIK.

Z umysłu, albo igraszki,
 Pewien chłopczyna łapać chciał ptaszki,
 Lecz choć siatkę ukrył w śniegi,
 Zachodził i siedział cicho,
 Jakieś nieprzyjazne licho
 Niweczyło jego zabiegi.
 W tém, jak to zwyczajnie bywa,
 Przysuwa się filut śmiały:
 „Praca twoja nieszczęśliwa,
 „Słęczysz daremnie dzień cały.
 „Jeszcze za usilność marną,
 „Zjadają ci, głupcze, ziarno.

„Chceszli łapać ptaków stada,
 „Słuchaj, taka moja rada.
 „Bierz po garści soli,
 „Zachodź im powoli,
 „Sypnij na ogony,
 „A ujrzysz niebawnie,
 „(Tylko zwiń się sprawnie),
 „Że każdy przylgnie, jak uwięziony.”
 Usłuchał Jasio, i z domu
 Brał sól pokryjomu,
 Rzucił nią na ptaki.
 Lecz choć jaki taki
 Łebsko dostał po ogonie,
 Tém prędzej ulata,
 To na dach, to na błonie,
 To do gaju.— Cóż u kata?
 Pomyślał sobie chłopczyna,
 Ani jednego niezłapałem ptaszka.
 Ale to fraszka,
 I sól wypułem: tu płakać zaczyna.
 Jakże powrócę do chatki,
 Tyle nabrawszy soli, a bez wiedzy Matki?
 Matka tuż za Jasiem stała.
 Ale wspaniała,
 Widząc łzy syna, poprawy znamie,
 Dowiedziawszy się jeszcze, że te psoty
 Nie z jego własnej poszły ochoty,
 Rzekła: „Mój Jasiu, tak niejeden kłamię,
 „Naucz się z téj szkody
 „Gdzie płochą łatwoierność prowadzi wiek młody.
 „Mały masz przykład na soli.
 „Niejeden z próżnej swawoli,

„A wielu, gdy ich twoje rozgniewają cnoty,
 „Na wiek, na zdrowie niemając względu,
 „Do jakiej ciebie namówią pustoty,
 „Aby się potem naśmiać z twego błędu.
 „Stare niesie przysłowie,
 „Które podali baczni przodkowie,
 „Że pieczone gołąbki
 „Niewleczą same do gąbki.
 „Pracuj, przy pracy miej stałość,
 „I nieugiętą wytrwałość,
 „Wtedy błogich zamiarów doczekasz się końca;
 „Próżniaki niesą godne światła tego słońca:
 „Tak sobie wystaw, po wszystkie dni twoje,
 „Że te ptaszków roje
 „Są szczęściem, które miga się przed nami;
 „Siatki z ziarnem,— sposobami:
 „A twój zwodziciel,— przeszkodą:
 „Jeśli pracy dołożysz, w czasie i potrzebie,
 „Bezpiecznie naówczas ciebie,
 „Drogi rozsądku do szczęścia zawiodą.”

B A J K A.

KULA i PIGUŁKA Z TRUCIZNĄ.

Kula, co przy pigułce zatrutej leżała,
 Rzecz: „Jak między nami różnica jest mała,
 „Obiedwie człowiekowi wydzieramy życie,
 „Ja głośno, a ty cicho, ja jawnie, ty skrycie;
 „A chociaż się niemamy czem wynosić obie,
 „Lepiej mnie być podobnym, a niżeli tobie.

JAN KOCHANOWSKI

W CZARNOLASIE.

Darmo szukałem w odmianie wieczystej,
 Owej rokosznej lipy rozłożystej,
 Pod której niegdyś ulubionym cieniem,
 Wdzięcznym mąż wielki rozrzewniał się pieniem.

KRASICKI w liście: *Wyjazd z Warszawy.*

Wspomnienie znakomitych ludzi wieków dawniejszych, obudza w naszych sercach ślache-
 tne żądze nieśmiertelności i sławy.— Rozważa-
 jąc ich czyny, mowy i pisma, przejmując się
 umysł wielkością ich duszy.— Takie rozmyśla-
 nie ma jeszcze nadewszystko ten powab, że nas
 przenosi, w owe czasy chwały naddziadów,
 w owe czasy ehlubnych pamiątek Ojczyzny; że
 pozwala wytechnąć sercu; że pozwala spokojnie
 dumającej myśli, opuścić na czas niejaki świat
 i scenę jego. Bo czy to wpatrujemy się w spra-
 wy publiczne wiekopomnego męża, czy nas roz-
 rzewnia jego domowe pożycie, czy śledzimy by-
 strość ducha, cel i ślachtetny zapał, co żyje w pi-
 smach jego; zawsze naukę przyjemną, lub słod-
 ką pamiątkę, lub rzewną lubość, odnosimy w na-
 grodę, za wolniejsze chwile, któreśmy tak mi-
 łątemu zatrudnieniu, tak pożytecznej, tak chwa-

lebnęj pracy poświęcili. A jeśli na to pomni-
my, że wszystko, co jest ojczyście, najdzielniej
przemawia do duszy; że cnoty przodków naj-
ślachetniejszy zapal rozniecają w potomkach, a
nawet ich błędy i wady najskuteczniej ostrze-
gają, i najlepiej uczą; któż z nas niepoświęci
swobodniejszych godzin poznaniu rzeczy ojczy-
stych? kogo nierozrzewnią, kogo niezdumiają lo-
sy, mowy i czyny tych mężów, którzy najwię-
kszy wpływ mieli na swoje czasy, na ludzi ze
sobą żyjących?

Takim był niezawodnie Jan Kochanowski,
Dziedzie Czarnolasu, Ojciec naszych Poetów:
czułość Matki była jego mistrzynią w latach
dziecinnych, pod jej okiem wzrósł i powziął
pierwsze światło nauk. Ta wzorowa Matka
wychowała jeseze przy nim inne dzieci, z któ-
rych Piotr, Jędrzej i Mikołaj dni swobodne
Muzom poświęcili. Jakaż to chwała dla Polki,
że tylu synów przysposobiła Ojczyźnie! Jan Ko-
chanowski po ukończeniu wyższych nauk w Pol-
she, nie dla próżnej chluby udał się za grani-
cę. W Rzymie, Padwie, w Paryżu, śledził
duch jego źródła chwały i wielkości ludów; śle-
dził dobrego smaku, i dla tego wyuczył się ob-
cych języków, aby plonem ich skarbów zboga-
cić niwę ojczyść. Tak usposobiony wrócił do
Ojczyzny, zabrawszy ze sobą szacunek mężów,

stynących mądrością i nauką u obcych. Po-
przedziła go za granicą nabyta: i niedziw, że
ledwie stanął na ojczyściej ziemi, zaraz Padnie-
wski, z którym go Padwa przyjaźnią złączy-
ła, polecił go chlubnie ze Sekretarza Królowi.
Kwitnęła Polska naówczas pod berłem i błogie-
mi rządu starego Zygmunta. Powaga jego Ma-
jestatu, panowanie dzielne, pomimo wpływu
Bony, pomimo zawichrzeń od jej stronników
zrządzonych, wydało najpowabniejsze owoce
chwały u postronnych i światła narodu. Jan
Kochanowski miał dopełnić świetnej kolei mę-
zów zasłużonych w kraju; do tego wezwała go
Opatrzność; temu powołaniu chlubnie odpowie-
dział.

Lecz miejsce, które mu Król przy swoim bo-
ku powierzył, niémiało tyle powabów, aby go
do siebie przywiązało na zawsze. Jakaż zaś posada
mogła uwięzić takiego człowieka, któryby za
najwyższą niebył się rzekł utęsknień do spo-
kojnego zacisza i swobodnych dumań? Poezyja
natchnęła go pragnieniem ustronia; ona zapaliła
tkliwą jego duszę; ona mu wiejską spokojność,
ona przeznaczyła dziedzictwo natury. Dla niej prze-
niósł nad wszystko, roskosze Czarnolasu i tam ob-
cował z Muzami; tam żył w towarzystwie dobrej
żony Anny Podlodowskiej. Ach! gdzieżby przy-
jemniej, gdzie miliej był przemawiał duch jego

w nieśmiertelnych pieniach? jeśli nie pod większą strzechą, w cichym Czernolasie, pod ciemnym rozłożystą lipą, którą, że w dziełach swoich uwiecznił, chociaż przestała osłaniać doliny, gdzie wiesz słodki dumał, gdzie płakał nad zgonem kochanej swojej Urszulki; jednak luba jej pamiątka, obok jego imienia słynąć będzie w najpóźniejszych wiekach. (*)

O lube wiejskie ustronie! wy natchnęłyście powabami natury pierwszych swych śpiewaków, w ich dziełach jest życie i świeżość; a ktokolwiek z waszego natchnienia nieśpiewa, ten zawodzi innych, mija się ze sławą, jest kłameką uczonym; tego całe poema niewarto jednego wiersza Delila.

Ale gdzież stoi ów skromny domek, owo schronienie naszego Poety? W nim przemieszkiwał Patryjarcha Polski, nie przez lata swoje, ale czystość obyczajów i cnotę (**). Mały

(*) Oprócz Epigramatu na tę lipę, w księdze III. Fraszek, jest jeszcze wzmianka o niej w Pieśni II. księgi II. do Hanny kochanki, a później żony Poety:

Samy Cię ściany wołają,
I z dobrą myślą czekają:
Lipa stojąc wpośród dworu,
Wygląda Cię coraz z boru.

(**) Dwa już wieki przeszły, miejsce się prawie tylko samo zostało, gdzie mieszkał! ale winna Polska

podobno ślad został tego staropolskiej prostoty, staropolskich obyczajów siedliska. Miło każdemu Polakowi odczytać napis, który ten Mąż wielki na swój domek zrobił:

Panie, to moja praca, a zdarzenie Twoje,
Raczysz błogosławieństwo dać do końca Swoje,
Insi niechaj pałace marmurowe mają,
I szczerym zlotogłowem ściany objijają,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tym gniaździe ojczystym,
A Ty mnie zdrowiem opatrz i sumieniem czystym,
Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnemi, nie przykrą starością.

czułości Księcia Jabłonowskiego, Wojewody Nowogrodzkiego, iż kupiwszy umyślnie tę majątność, ostatki domu wielkiego Męża kształtnym mieszkaniem przyozdobił; tak zaś budowlę rozporządził, iż dom w którym mieszkał Kochanowski, nienaruszenie zachował. Wierzyć należy: iż przy coraz bardziej krzewiących się w Polsce naukach, miejsce to znakomite, uszanowanie zwykłe, winne śladom wielkich ludzi odbierać będzie.

KRASICKI w liście: *Wyjazd z Warszawy.*

Wyczytujemy z Kalendarzyka polit: na rok 1823., że ten zabytek zniszczony został później przez Ekonomia innego właściciela Czarnolasu, a lipa ściętą. Ale trudno pojąć, kto prawdę napisał. Krasiccki niewiedział już lipy, a ci sami Autorowie, co opisywali Województwo Sandomierskie, później wymieniają lipę ściętą, i dom Kochanowskiego zniszczony. Dla odkrycia prawdy prosilibyśmy ich o łaskawe objaśnienie.

Oto wierny obraz jego serca, oto słowa tklivości i patryjachalnych uczuć, w których się czysta dusza Poety, jak skromna trawka, w zwierciadle jasnego źródła odbija. *Panie! mów Kochanowski, to moja praca, a zdarzenie Twoje; ja sobie to zapracowałem, ale wszystko mam z Twojej ręki, Tyś mi łaskawie poszczęśliwił. Raczysz błogosławieństwo dać do końca* Swoje, niezazdrość innym wspaniałych pałaców, nie zazdrość sprzętów kosztownych; pozwól mi tylko mieszkać w tym ojczystym gniaździe do końca, zachowaj mi zdrowie i czyste sumienie, daj pożywienie uczciwe, ludzką życzliwość, obyczaj przystojny i nie przykrą starość. Wszystko czego sobie w długim rytmie życzy *Marcjalis*, zawiera się w tym wierszu Kochanowskiego, pełnym słodyczy wewnętrznej, wdzięku poezji, i niewymownie miłej harmonii. Takie są życzenia spokojnego człowieka, co tylko cnotą żyje, i czystym jej powietrzem oddycha. Jakże od nich różnie pragnienie chciwości i dumy! Ludzie, dający się im powodować, jako igrzyska ślepej furtuny, tracą w ten czas wszystko, gdy cnota skromna w zaciszu, lituje się nad ich ośląkaniem, i smutnym poniżeniem człowieka.

Tak myślał Kochanowski, takim uczuciem ożywiały swoje dzieła. Kochana Młodzięży! czytaj, odczytuj jego pieśni, gdzie znajdziesz naj-

piękniejsze, najczystsze nauki życia: w nich także poznasz, jak zarabiać na sławę u świata, jak uzyskać szacunek od swoich, jak czułą duszą i myślą kochać ziemię Przodków! Nie wątpię, że się przejmiesz radami tego przyjaciela cnoty, że wpoisz w siebie to złote jego zdanie:

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi:
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciół srogi.
Niespali ogień: niezabierze woda;
Nad wszystkiem innem panuje przygoda.

Ale nadewszystko naśladowuj skromność, jakiej ten Mąż wielki w całym życiu przestrzegał. — Bo kiedy ani pensja Sekretarza u dworu za-trzymać go nie mogła, ani zwyczajem owych czasów Opactwa Sieciechowskiego nieprzyjął, pomimo żywych nalegań Jana Zamojskiego, ani dochodów Probostwa Katedry Poznańskiej, które mu hojny, i godny takiego Męża przyjaciel, Kanclerz Myszkowski u Króla wyrobił, kiedy, mówię, tego wszystkiego zrzekł się jego wielki umysł, i na wszelkie zaszczyty obojętnie poglądał: musiały go od młodości samej uzacniać inne zdania, inne myśli, jak ludzi pospolitego uczucia; musiał serce swoje obwarować stałością, aby tylko sobie samemu wszystko był winien, a mało dbał o to, co słusznie losu trafunkiem i skutkiem względów zowiemy. Dla tego, chętnie, kochana Młodzięży, tak słynąc, jak ten Mąż

wielki, a przynajmniej tak siebie być pewna i takie, jak on, mieć przekonanie o swojej cnotcie, pamiętaj zawsze na tę jego naukę prostą a wiele znaczącą:

Kto ma swego chleba,
 Ile człeku trzeba,
 Może niedbać o wielkie dochody,
 O wsi, o miasta, i wysokie grody;
 To pan zdaniem mojem,
 Kto przestał na swoim:
 Kto więcej szuka, jawnie to znać daje,
 Sam na się, że mu jeszcze niedostaje,
 Siła posiadał włości,
 Kto ujął chciwości.

Ale nie taką jeszcze próbę stałości miał wytrwać Kochanowski, i nie to było ostatnie doświadczenie jego skromności. Jan Zamojski, Kanclerz, i sławny później Hetman koronny, a już wtedy wiele znaczący w kole Senatu Polskiego Mąż, który szukał zasługi ukrytej, i umiał wysłedzoną ocenić, który znał, poważał i kochał skromnego ziomka Poetę, przemyślał nad tem jakby go koniecznie wydobyć z ukrycia, i na przyzwoitem sobie miejscu godności i znaczenia, tę piękną, tę chlubną ozdobę, to światło narodu umieścić. Nieudało się mu ująć go dawniej Opactwem. Sądząc, że go prędzej zachwyci godność świecka, wyrabia mu z wszelką łatwością u Króla, umiającego szacować nauki, i poważać

Mężów uczonych, Kasztelaniją Połaniecką. Przekonany u siebie, że gdy mu w imieniu Monarchy, z własnoręcznym swoim listem, prześle tak zaszczytny przywilej, Kochanowski da się powodować głosowi przyjaźni, i ulegnie uprzejmej nauce. Ale jakże godnie jaśnieje i w tém ostatniem zajściu sława jego; z jakim uwielbieniem nieczytamy złotych słów Poety, wyrzeczonych w liście od Jana Zamojskiego! „Nie dozwolę, pisze Mąż wielki, aby przemożny Kasztelan, wszedłszy raz do mojego domu ojczystego, przez swoją wspaniałość i przepych to zmarnotrawił, co sobie Kochanowski zebrał.” Prawdziwie staropolska i szcera odpowiedź. Nieuraził nią Monarchy ani Kanclerza; ale przeciwnie powiększyło to ich szacunek dla niego. Bo cnota czy dobrodziejstwa przyjmuje, czy się od nich wymawia, zawsze jest w oczach rozsądku szanowną i miłą. Gdzie zaś idzie o zasłużenie się Ojczyźnie i ziomkom, tam się pierwsza ubiega. Widzieliśmy Kochanowskiego nieprzyjmującego znacznych dochodów i żadnej godności. Lecz skwapliwie podjął się dostojności Wojskiego Sandomirskiego, małej wprawdzie dla pychy, ale szanownej dla skromnej i cnotliwej duszy. Ojcowie bowiem nasi, których ciągłym zatrudnieniem było wojenne rzemiosło, a godłem z niego pochodząca sława, piękne dziedzictwo całego Sło-

wiańskiego rodu, którzy większą połowę życia w obozach, na koniu, i z szablą w ręku spędzali; wyciągając z domów na wojny, mieli w zwyczaju wybierać z pomiędzy siebie najszanowniejszego obyczajami i wiekiem ziemianina, aby czuwał nad ich dobytkiem, nad ich rodzinami i dobrą imieniem. Był to więc urząd bezpłacny, czcigodny, więcej na czas wojny, jak pokojowy; ten, który go dostąpił zatrzymywał go w mieście do śmierci; bo zawsze na najgodniejszego padł wybór. Uczcili nim Obywatele skromne cnoty Kochanowskiego, chociaż wtedy jeszcze nie był poważny latami. Ale niewinność obyczajów ten miéwa przywilej, że jedna człowiekowi szacunek, jedna cześć wyrządzaną sądziwością poważną, której kwiat wiosenny powabne wydał owoce. Dowiedziawszy się naród o tém dla Kochanowskiego zaszczytném zdarzeniu powziął wysokie mniemanie o jego cnotach i szlachetnej duszy. Nawet i później za złe mu tego niémiano, gdy ubocznie o téj okoliczności w rymach swoich wzmiankował. Tak naprzykład w Anakreontyku naśladowanym z Greckiego:

Niedbałem nigdy o złoto,
Alem tylko prosił o to,
Aby kufel stał przedemną,
A przyjaciel pijał zemną:

A tym czasem robotnicy,
Pieczę mieli o winnicy.
To wszystko moje staranie,
To skarb, złoto i zebranie.
Ani dbam o kasztelana,
Trzymając się mocno dzbana.

Wybrana przezeń towarzyszka życia, której osobne pieśni i wiele miejsc w swoich dziełach poświęcił, słynąca skromnością obyczajów, Anna Podlodowska, ślacheckiego domu, powiła siedmiu synów i siedem córek. Niedozwoliło mu Niebo zostawić z nich sławy swojej dziedzica. Wiemy, że największych nadziei córka, była nadobna, i znakomitych zalet miała Orszulka, której zgon żałosny w dziewiętnastu Trenach albo Żalach opłakał (*). Jak zaś był przywiązany do swoich dzieci, dowodzą te jego słowa, pełne rzetliwości, za wstęp do Trenów położone: „Orszuli „Kochanowskiej, wdzięcznej, ucieszony, nie „pospolitej dziecinie: która..... nagle, nieodpo „wiednie, w niedoszłym wieku swoim, z wiel „kim, a nieznośnym Rodziców swych żalem zga „sła: Jan Kochanowski, niefortunny Ojciec, swo „jéj najmilszej dziewce, ze łzami napisał. Nié „; masz Cię, Orszulo moja!” — Któryż Ojciec, co

(*) Zobacz Tren dwunasty, gdzie mówi:
A to tak w małym wieku sobie poczyniała,
Że więcej nad trzydzieści miesięcy niémiała.

mówię? który tkliwy człowiek niezapłacze po odczytaniu nagrobku, jaki J. Kochanowski swą jej nieodziałowaną córcę położył?

Orszula Kochanowska tu leży, kochanie
Ojcowe, abo raczej płacz i narzekanie.
Opakęś to niebaczną śmierci udziała:
Nie jać onęj, ale mnie ona płakać miała (*)

Cokolwiek rozczulającego mogą mieć Grecy i Rzymianie, z tém wszystkiém godnie porównać się dadzą Żale naszego Poety. A ten wiersz nagrobku: *nie jać onęj, ale mnie ona płakać miała*, wyrywa z serca bolesne wspomnienie i łyzy z oczu wyciska. — Wszystkie jego Treny pełne są myśli najrzewniejszych. Kto tych wzorów elegijnej poezji nieczytał i nieodczytuje, o tém śmiało rzec można, że albo nie lubi rzeczy ojczystych, albo ma serce z kamienia. Jakże boleśnie przemawia nieszczęśliwy Ojciec do śmierci: —

O prawo krzywdy pełne! o znikomych cieni,
Sroga, nieubłagana, nieużyta Ksieni:
Takli moja Orszula, jeszcze żyć na świecie
Nieumiawszy, musiała w ranym umrzeć lecie?
A nienapatrzywszy się jasności słonecznej,
Poszła nieboga widzieć krajów nocy wiecznej!

(*) *Hoc tumulo tristi recubat carissima nata
Ursula, vel gemitus atque patris lachrymae:
O diras lethi mortalibus undique vices!
Nunc illam doleo, splendens ei sed eram!*

A bodaj ani była świata oglądała:
Co bowiem więcej, jeno ród, a śmierć poznała?
A miasto pociech, które winna z czasem była,
Rodzicom swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

Wszystko mu przypomina nieobecność Orszuli, a nawet wdzięczne jej słowa i ukłony, gdy mówi:

Wzgardziłaś mną, dziecizko moja ucieszona,
Zdałaś się Ojca twego bardziej usezuplona
Ojczyzna, niżlibyś ty przestać na niej miała.
To prawda, żeby była nigdy niezrównała
Z ranym rozumem twoim, z pięknymi przymioty,
Z których się już znaczyły twoje przyszłe cnoty.
O słowa, o zabawo, o wdzięczne ukłony,
Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony?

Łzy się cisną do oczu, gdy czytamy zaczęci Trenu czwartego:

Zgwałciłaś, niepobożna śmierci, oczy moje,
Żem widział umierając miłe dziecię swoje.
Widziałem, kiedyś trzęsła owoc niedojrzały:
A Rodzicom nieszczęsnym serca się krajały.

Dokończenie godne jest rzewliwego początku:

Nie dziwuję Niobie, że na martwe ciała,
Swoich najmilszych dziątek patrząc, skamieniała.
W Trenie piątym przyrównywa ją kochany
Ojciec do oliwki *małej*, która obok matki wzrosła,

Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,
Sama tylko dopiero szupłym prątkiem wschodząc:

Dziedzilija Tom II. Nr. 4.

Tę jeśli ostre ciernie, lub rodne pokrzywy,
Uprzątając sadownik podciął ukwapliwy,
Mdleje zaraz.

W Trenie szóstym pieści się z jej śpiewaniem, nazywa ją *ucieszną swoją śpiewaczką, Safoną Słowieńską, na którą nietylko jego cząstka ziemieńska, ale i lutnia dziedzicznym prawem spaść miała*. Co tylko żal po stracie najmilszej córki Ojcu podać może, to wszystko przywodzi sobie na pamięć Kochanowski. Dopiero co przyrównał ją do młodej oliwki, już znowu tak do niej mowę obraca:

Jako więc lichy słowiczek, w krzaku zielonym,
Całą noc prześpiewa gardłkiem swym ucieszonym.
Prędkoś mi nazbyt umilkła: nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna, szebiotko droga.

Tu nawet miara wierszy, i średniówka niezwykajna, odpowiada, jak żalosne echo, narzekaniom Ojca. Niedosyc na tém. Jeszcze on sobie przypomina, jak rzewliwie mała jego śpiewaczka ukochaną Matkę żegnała. A jakby wezbrana żalność wskazywała mu wszystko, co po niej w domu ojcowskim zostało, wyraża się tą bolesną odezwą:

Nieszczęsne ochędóstwo, żalosne ubiory,
Mojęj najmilszej Córy:
Po co me smutne oczy za sobą ciągniecie?
Żalu mi przydajecie.

Już ona członeczków swych wami nieodzieje:
Niemasz, niemasz nadzieje.

Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany:
Już letniczek pisany (*),

(**) I uploteczki wniwecz, i paski złożone:
Matczyne dary płone.

Nie do takiej łożnice, moja dziewczko droga,
Miała cię mać uboga (*nieszczęsna*)

Doprowadzić: nie takąc dać obiecować
Wyprawę, jakąc dała:

Gieźteczko (*koszulkę*) tylko dała, a lichą tkaneczkę:

Ale serce się kraje z żalu na te słowa:

Ojciec ziemie bryłeczkę

W główki włożył: niestetyż: i posag i ona

W jednej skrzynce zamknięta.

Najwyżej podnosi stratę swoją opłakaną, mówiąc:

Jedną małuczką duszą tak wiele ubyło.

Szukając smutnego pocieszenia, zwiędza omamioną
myślą różne miejsca, gdzieby jej duszyczka mogła przebywać:

Czyś ty nad wszystkie Nieba wysoko wniesiona,
I tam w liczbę Aniołków małych policzona?

Czyliś do Raju wzięta? czyliś na szczęśliwe
Wyspy zaprowadzona? czy cię przez tęskliwe

Charon jeziora wiezie? i napawa zdrojem

Niepomnym, że ty niewiesz nic o płaczu mojem?

(*) Letnia sukienka albo spodniczka.

(**) Może warkoczyki splecione w kształt wieńca na głowie.

Czy człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,
 Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?
 Czyli się w Czyscu czyścisz, jeżeli z strony ciała
 Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
 Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwój była,
 Niżej się na mą ciężką żalność urodziła?
 Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj mój żalności,
 A niemożeszli w onej dawniej swój całości,
 Pocziesz mnie, jako możesz, a staw się przedemną,
 Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną.

Poczém wyrzekając przeciw cnocie, że ta na-
 wet nieocali człowieka przed śmiercią, że
 Nieznajomy wróg jakiś miésza ludzkie rzeczy,
 Niémajac ani dobrych, ani złych na pieczy,
 Kędy jego duch wienie, żaden nieuleże:
 Prawli, krzywli, bez braku każdego desięże.

Miarkuje się jednak, jako Chrześcijanin filo-
 zof:

A my rozummy swoje przedsię udać chcemy,
 Hardzi między prostaki, że nic nieumiemy.

(*) Wspinamy się do Nieba, Boże tajemnice
 Upatrując; ale wzrok śmiertelnej zrenice
 Tępy na to: sny lekkie, sny płoche nas bawią,
 Które się nam podobno nigdy niewyjawia.

A w końcu tak się upomina:

Żalności, co mi czynisz, owa już oboje
 Mam stracić, i pociechę, i baczenie swoje.

(*) Piękne naśladowanie tego miejsca Ody 3. księ-
 gi I. Horacego: coelum ipsum petimus stultitia,
 Nieba samego wzbijamy się przez głupstwo

Ten dobry, nieutulony w żalu Ojciec, w ka-
 żdém wspomnieniu, w każdym pamięcią odświe-
 żonym czynie, wysławia chwalebne przymioty
 swojej maleńkiej Córy. Tren dwunasty zawiera
 najpiękniejsze zachęcenia i nauki dla dzieci. Ko-
 chane dziatki, zachowajcie je w pamięci, a kształ-
 cąc się na wzór nieodżałowanej Córki najlepszego
 z Ojców, stańcie się, jak ona, godne miłości
 Rodziców!— Posłuchajcie! przez co mała Or-
 szulka zasłużyła na taki żal Ojca i Matki, a na-
 dewszystko na tę nieśmiertelną pamięć wieków,
 że ją dziś wspominamy za przykład innym dzie-
 ciom. Jakże o niej mówi dobry Ojciec? Oto,
 że była ochędożną, posłuszną, karną, niepie-
 sezoną, roztropną, obyczajną, ludzką, nierze-
 wniwą, że nigdy wprzód rano niezawołała po
 karmu,

Aż pierwój Bogu swoje modlitwy oddała.
 Nie poszła spać, aż pierwój Matkę pozdrowiła,
 I zdrowie Rodziców swych Bogu poruczyła.
 Zawszy przeciwko Ojcu wszystkie przebyć progi,
 Zawszy się uradować, i przywitać z drogi.
 Każdej roboty pomódz, do każdej posługi
 Uprzedzić było wszystkie Rodziców swych sługi.
 A to tak w małym wieku sobie poczyniła,
 Że więcej nad trzydzieści miesięcy miała.

Poczém dodaje:

Tak wiele cnót jej młodość, i takich dzielności,
 Niémogła znieść: upadła od swojej bujności:

Żniwa, niedoczekawszy, kłosisie mój jedyny:
 Jeszcześ mi się był niestał, a ja twój godziny
 Nieczekając, znowu cię w smutną ziemię sieję,
 Ale pospołu z tobą grzebię i nadzieję:
 Bo już nigdy nie wznijdzieź, ani przed moją
 Wiekom wiecznie zakwitniesz smutnemi oczyma.

Ach! jakże niemiał, po takiej kochanej Córce
 rzewnie i długo płakać, jak niemiał wyrzec
 zasmucony Ojciec tych słów boleści i żalu, tej
 największej dobrego dziecięcia pochwały:

Żaden Ojciec podobno bardziej nie miłował,
 Dziecięcia, żaden bardziej nad mnie nie żałował.
 A też ledwie się kiedy dziecko urodziło,
 Coby łaski Rodziców swych tak godne było.

Zgon pospolitych ludzi zasmuca; bo czujemy,
 że i nam tak zakończyć przyjdzie. Lecz
 zgon wielkiego męża, a nawet dziecińy, znakomitej
 cnotami, z nadzieją rozwijających się
 pięknych przymiotów, zasmuca głęboko, i długą
 żalność zostawuje. Taką stratę w Orszuli czuł
 i opłakiwał ten, którego Opatrzność, jak to zobaczymy,
 samemi dolegliwościami chciała na tym świecie
 doświadczać, aby następne wieki, aby ziomkowie
 Jana Kochanowskiego, w nim mieli wzór piękny
 wytrwałości i cnoty! Prześliśmy teraz do
 najsmutniejszej okoliczności w życiu naszego
 Poety. Któryż Ojciec miał odedić słuszniejszy
 powód żalu i płaczu? Lecz posłu-

chajmy, jak sam przemawia do żony, w *Trenie*
 piętnastym:

Nieszczęsna Matko!.....
 Gdzie teraz twych siedm synów, i dziewczynek tak wiele? (*)
 Gdzie pociecha? gdzie radość? i twoje wesele?
 Widzę czternaście mogił: a ty nieszczęśliwa,
 I podobno tak długo nad wolą swą żywa,
Patrzysz na zimne groby, w których, (ach niebogo!)
 Składłaś dziecięcki swoje, zagubione srogo.

Chociaż w *Trenie* następującym zdaje się
 być nieutulony w żalu, gdy mówi:

Pańska ręka mię dotknęła,
 Wszystkę mi radość odjęła:
 Ledwie w sobie czuję duszę,
 A tę podobno dać muszę.
 Lubo wstając gore jaśnie,
 Lubo padnąc słońce gaśnie:
 Mnie jednako serce boli,
 A nigdy się nie utoli.
 Oczu nigdy nie osuszę,
 I tak wiecznie płakać muszę:
 Muszę płakać, o mój Boże!
 Kto się przed tobą skryć może?

Przecież znajduje pociechę w Religii, tej Niebiance,
 która na bolesne rany śmiertelnych dobroczynną
 swoją dłonią sący gojące balsamy.

(*) Skądże więc wyczerpnął X. Juszyński tę wiadomość:
 że miał tylko sześć córek i syna, który w krótko po
 śmierci Jego urodził się? — *Zobacz Dykc: Poet: Pol: T. I. stron: 191.*

Życie przyszłe uspakaja rozrzuwnioną duszę Kochanowskiego. Wypłaciwszy łzami dług naturze powinny, w następującym Trenie, który jest piękną modlitwą do Boga, poddaje się jego świętej woli, i w tkliwej pokorze znosi swoje cierpienie. Niebędzie od rzeczy wypisać Tren wspomniony, abyśmy poznali, jak godnie Ojciec Poetów naszych, przenikniony bystrością Psalmów Dawida, i napojony wielkością jego myśli, odzywa się do Stwórcy Świata, i do Władcy Niebios i Ziemi:

My nieposłuszne, Panie, dzieci twoje,
 W szczęśliwe czasy swoje,
 Rzadko Cię wspominamy:
 Tylko roskoszy zwykłych używamy:
 Niebaczym, że to z Twój łaski nam płynie:
 A także prędko minie,
 Kiedy po nas wdzięczności
 Nieuznasz, Panie, za Twe życzliwości.
 Miej nas na wodzy, niech nas nierozpycha
 Doczesna roskosz licha.
 Niechaj na Cię pomniemy,
 Przynajmniej w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.
 Ale Ojcowskim nas karz obyczajem:
 Boć przed Twym ogniem stajem:
 Tak jako śnieg niszczy,
 Kiedy mu słońce niebieskie dogrzeje,
 Zgubisz nas prędko, wiekuisty Panie,
 Jeśli nad nami stanie
 Twa ciężka Boska ręka:
 Sama niełaska jest nam sroga męka.

Ale od wieku Twoja litość słynie:
 A piérwój świat zaginie,
 Niż ty wzgardzisz pokornym:
 Chocia był długo przeciw Tobie spornym.
 Wielkie przed Tobą są występy moje;
 Lecz miłosierdzie Twoje,
 Przewyższa wszystkie złości.
 Użyj dziś, Panie, nademną litości.—

Ale ktokolwiek masz czułe serce, czyliż niezapłaczesz nad Ojcem, który po wyczerpaniu, że tak powiem, smutku i żałosci, i wszelkich sposobów pociechy, jeszcze po zgonie pieści się we śnie z najmilszą swoją dzieciną, i tak się nią zajmuje:

Żalosc moja długo w noc oczu mi niedała
 Zamknąć, i zemdlonego upokoić ciała.
 Na tenczas mi się Matka właśnie ukazała,
 A na rękę Orszulę moję wdzięczną miała;
 Jako więc po paciorek do mnie przychodziła,
 Skoro z swego postania rano się ruszyła.
 Gieźteczko białe na niej, włoski pokręcone,
 Twarz rumiana, a oczy ku śmiechu skłoniłone:
 Patrę, co dalej będzie, aż Matka tak rzecze:
 Śpisz Janie? czy cię żalosc twoja zwykła piecze?
 Zatemam ciężko westchnął, i tak mi się zdało,
 Żem się ocknął. A ona pomileczawszy mało;
 Znowu mówić zaczęła: Twój nieutulony
 Płacz, Synu mój, przywiódł mię w te tu wasze strony,
 Z krain bardzo dalekich: a tży gorzkie twoje,
 Przeszły aż i umarłych tajemne pokoje.
 Przyniosłam ci na rękę wdzięczną dziewczkę twoję,
 Abyś ją mógł oglądać jeszcze, a tę swoję

Serdieczną żalność ujął, która tak ujmuje
 Sił twoich, i tak zdrowie nieznacznie twe psuje.
 Czyli nas już umarłe macie za stracone,
 I którym już na wieki słońce jest zgaszzone?
 A my owszem żywiemy żywot tym ważniejszy,
 Czym nad te grube ciała duch jest słahetniejszy.
 Ziemia w ziemię się wraca; a duch z Nieba dany
 Miałby zginąć, ani na miejsca swe wezwany?
 Oto się ty niefrasuj; a wierz niewątpliwie,
 Że twoja najmilejsza Orszuleczka żywie.
 A tu więc takim ci się kształtem pokazała,
 Jakoby się śmiertelnym oczom poznać dała;
 Ale między Anioły, i duchy wiecznemi,
 Jako wdzięczna jutrzienka święci; a za swemi
 Rodzicami się modli; jak to umiała
 Z wami będąc: choć jeszcze słów niedomawiała.

Ta tylko bogobojna powolność, to poddanie
 się Wyrokom Nieba, mogło go uchronić od osta-
 tniej rozpaczki.— Będąc bowiem wzorem cnót
 wszystkich, wzorem Ojców i Mężów, po stracie
 opłakaniej wszystkich swoich dzieci, płakać mu-
 si jeszcze nad zgonem najlepszej Żony i Matki,
 najenotliwszej swojej Anny, której ukochanym
 cieniem łzy najtkliwsze i Pieśń żalobną poświę-
 cił. W niej te poruszające słowa czytamy:

Równiej podobno rozum radzić może szkodzie,
 Ale jaka jest moja niezdoła przygodzie.
 Dzieatkiż mnie cieszyć mają, czy żona cnotliwa?
 I dziatkozki Bóg pobrał, i Matka nieżywa.

Jak gdyby niedosyć było tych ciosów; je-
 szcze dochodzi wiadomość tego nieszczęśliwego Mę-

ża i Ojca, że Podlodowski, brat żony jego zgi-
 nął od Kozaków. Żalany żłami, osierociąły Ko-
 chanowski, opuszcza po raz ostatni, niestety!
 swój dom ojczysty, błogie acz smutne siedlisko,
 w którym tyłu strat bolesnych dożył, i udaje się
 śpiesznie za Królem Stefanem Batorym, do Lubli-
 na, aby, obżałowawszy śmierć krewnego, błagał
 sprawiedliwości Monarchy, o ukaranie zabójców.
 Ale przepelniona żalność bolejącej duszy Poety,
 z tak okropnego przypadku, niepozwoliła mu
 doczekać się chwili, w którejby przed swym
 zgonem oglądał oblicze wielkiego Króla Bohatyrza,
 i sprawiedliwy jego Wyrok usłyszał. Apoplek-
 syją tknięty umarł nagle Mąż wielki, którego
 Niebo wzorem nauki, wzorem cnoty i wielkości
 duszy mieć chciało (*).

Miło jest zapuszczać się w najdrobniejsze szcze-
 góły życia znakomitych ludzi, każdego narodu
 i wieku; ale tém miliej rozpamiętywamy sławę
 i czyny Rodaków, choćby też mniej ważne:
 a kiedy jeszcze zawierają w sobie wielkie i pa-

(*) W Zwoleńiu miasteczku narodowém, Woje-
 wództwa Sandomińskiego, w małym kościółku, na
 lewej stronie kaplicy, fundacyi Kochanowskich, spo-
 czywają ostatki Jana Kochanowskiego, tam znajduje
 się jego marmurowy nagrobek. Zobacz: Opis Wództwa
 Sandomińskiego, w Kalendarzyku polit: na rok 1823.
 umieszczony.

miętne przestrogi, rozum zasila się ich nieocenionym skarbem, a serce bije najzbawienniejszym wspomnieniem.

Prześliśmy życie Kochanowskiego, jako Poety i Ojca rodziny, uważaliśmy go, jako człowieka, teraz go uważajmy jako Obywatela. Szacunek ziomków ma za początek i źródło miłość Ojczyzny. Kto się jej chlubnie zasłużył, tego nagroda niemie; a nawet na najniższym stopniu dostojności, nawet w zaciszu ustronia, dojdzie go odgłos wdzięczności, znajdzie uwielbienie powszechne. Zasłużył sobie na nie Kochanowski sławą Poezyi, zasłużył nadewszystko przykładowym obywatelstwem. Zostawszy za zgodą społeczeństwa Wojskim Sandomierskim, był Ojcem rodzin ziomków, prawdziwym i szczerym doradcą ich małżonek, obrońcą sierót, uprzejmym dobroczyńcą podupadłych i biednych. Szczęśliwie jego ojczysta fortuna, którą powściągliwym życiem i uczciwym zachodem znacznie powiększył, dostarczała mu tyle, że mógł dogodzić potrzebie tkliwego serca, i wspierać w istocie. O duże ślachetne! — Wy tylko, znacie tę cudowną sztukę, że przy niewielkich dochodach, i sobie życie wygodne zapewnić umiecie, i bliźnich ratować.

Chcemyli w Kochanowskim przymiotów dobrego i łaskawego Pana? Nieomyli nas oczekiwania

domyślne. Znajdziemy w nim wszystko, co go robiło Ojcem poddanych dziedzicznej włości. — Znajdziemy w nim obraz Pana, którego Delil o tyle lat później w Ziemiaństwie swoim wystawił. Umiął zarządzać potrzebom i nędzy swoich wieśniaków, cieszył się z ich wesołości i szczęścia, a smucił przygodami ich stanu. Podzielał z nimi radość i ochotę, i lubił ich niewinne zabawy. Nieraz wyprawiał swoim ludziom okrężne, wtedy obok lubej Małżonki, przypatrywał się z nadzwyczajnie wygodzonym okiem ich tańcom, i przysłuchiwał ich śpiewom. Często owa mała Orszulka, bawiąc się na ręku Matki, rozrywała go wdziękiem anielskiej twarzyczki, że się jej podobało to wszystko, i pobudzała Ojca do miłego uśmiechu. Mamy ślad w jego dziełach, jak zwyczaje i obyczaje wiejskie mocno zachwycały, unosiły jego serce, jak zapalały wieszczege ducha Poety. Komuż się niepodobają pieśni Świętojańskie o Sobótce, które śpiewa dwanaście panien? kto z prawdziwą lubością i słodyczą nierozważał pieśni dwunastej: *Wsi spokojna, wsi wesoła, który głos twój chwale zdoła?* W niej odmalował Kochanowski rozkoszne zatrudnienia i niewinne zabiegi rolnika; w niej wydał razem w najpowabniejszych farbach, i z ujmującą prostotą, obraz uczuć własnych.

Nigdy go nieodstępowała skromna wesołość. Zwyczajem przodków był gościnny i ludzki. — Miał prawdziwych przyjaciół w sąsiadach; bo dla każdego z nich był wylanym i szczerym. Jakimże to niepojętym sposobem prowadził życie Ojciec Poetów naszych, że go nawet zazdrość nie dotknęła? Wszakże nieznamy nieprzyjaciół jego. A to jest największym dowodem, że enota skromna i przestająca na sobie, we wszystkich budzi cześć i poszanowanie. Znając siebie i swoje zasługi, mówi z pewnością o hołdzie i wdzięczności, jakiej się od potomnych wieków spodziewa. Wielcy ludzie niewahali się wyprzedzać sąd wieku swojego: a to wyznaniem było wyznaniem prawdziwej wartości i znamieniem górnego jenijusza. Przekonanie o sprawiedliwości następnych pokoleń, osładzało niewczesy i bezsenność tylu sławnych Mężów. Stąd nasz Kochanowski mówi w wierszu *do Muzy*:

Jednak mam tę nadzieję, że przedsię, za laty,
Niebędą moje czule nocy bez zapłaty.
A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.

Uwieczniając w pieśniach Bohatyrów Polski, uwieczniał razem sławę imienia swojego, a w potomkach, drogiem wspomnieniem enót i mężstwa przodków, rozniecał ślachtetny ogień ubiegania się ich śladem o nieśmiertelność i sławę. O jakże za-

chwycił Poeta dźwiękiem boskiej lutni bohatyrskie dusze Rodaków, gdy im opiewał ich dzieła, gdy im wystawiał wielkość Ojczyzny, która była owocem ich dzielności i trudów? — Jakże wtedy zapala się natchnieniem, gdy go sława Bohatyrza unosi? Wszystko, co ojczyste, z niewymowną radością ogłasza. Czytajmy świetny początek wiersza do Krzysztofa Radziwiła, a przekonamy się o tém:

Jako więc orzeł młody, na gniaździe wysokiem,
Siedząc, za ojcem patrzy niespuszczonem okiem,
Kiedy, abo wysoko buja pod obłoki,
Abo prędko zwierż goni, i drapieżne smoki,
Aż się i sam czassem wylecieć ostraszy:
A oto na cień jego wszystek rodzaj piaszy,
I polne uciekają stada; ten swęj broni
Jeszcze nie prawie świadom, bez obrazy goni,
Skrzydłami pogładzając po grzbiecie piérzchliwym,
A potem zajuszony i sam żywie żywym.
Tak, Ty, przypatrując się ojeowskięj dzielności,
O zacny Radziwile, za piérwszëj młodości
Myślileś zawdy sławy domowëj poprawić,
I o miłą Ojczyznę śmieie się zastawić,
Aniś, Ty, wieku czekał słusznego do zbroje,
Piérwëj dzielność dojrzała, niżli lata Twoje.

Kto tak pisał, tego serce ożywiała najczystsza miłość Ojczyzny, ten był prawdziwym Bardem przeszłości, a jego lutnię uwieńczyły wawrzyny i róże. Jakże narodowym, jak zachwycającym jest Kochanowski! — Szczęk zbroi budzi go do

pieśni: porywa lutnię, i z zapalem przelewa
w piersi rycerskie swój ogień; śmierć za lub
Ojczyznę, do której obrony boskiemi pieniami
zachęca, staje się słodyczą, chwała jest miłszą
i powabniejszą, gdy ją śpiewa Bard Polski, albo
gdy do niej wśród bojów drogę pokazuje. Po
wstańcie, Wy Cienie Bohatyrów naszych! i da
cie świadectwo tym słowom, któremi odnawia
jąc pamięć Wieszca Waszego, odnawiam razem
w sercach potomków najmilsze wspomnienia Was
szej wielkości i chwały. Czas, na szybkołotnych
skrzydłach, uniósł dwa wieki przeszłości, dwa
wieki pięknej przeszłości! dwa wieki, które by
ły świadkami kolejnych trofejów, nieszczęść i prz
mijającej wielkości: ach! cóż się mu oprze
czegoby niepokonała dłoń jego żelazna! Le
mylę się, przejęty uczuciem boleści i żalu! Nie
mogłach Przodków, obok posępnych mirtów
rozgałęziły się i wzrosły odwieczne laury i
sławy: cienie naddziadów, pogładając z uwie
czonym Bardem, na wdzięcznych potomków, któ
rych zwyciężkie dłonie posadziły te laury, i
śmiechają się błogo i cieszą. Każde wspomni
nie Mężów, których imiona splecione są z ich
imionami nieśmiertelności przepaską, wypła
przeszłości najpiękniejszy hołd i uwielbienie.
Niezapominajmy tak niewinnym sposobem rozetla
w sercach naszych ognia i zapalu, którego ta prze
szłość

szłość jest godną; jest on żywiołem wielkich
i ślachtetnych czynów. Szanujmy przodków pa
miątkę; jest ona zarodem i hasłem prawdziwej
miłości Ojczyzny. Za nią płynęła ich krew
ślachetna, za nią w burzach bitew nieszczędzili
życia. Bóg, po nim zaś Król i Ojczyzna, były
to ich godła najświętsze, a Bard, w nieśmiertel
nych pieniach, uwieczniający ich dzieła, i znoje
dla lubej Ojczyzny, zyskiwał miłość i poklask.
O jakże chwalebna jest Poezyja, w tak pięknym
celu użyta! Niemiękczył nią Kochanowski serc
wielkich Mężów przez miłosne jęki Amora; jego
pieśni opiewały czystą i wstydliwą miłość; ale
mężkiemi pieśniami budził w nich miłość Ojczy
zny i chwały, albo opiewał zwycięstwa. A czy
li to przestraja lutnię na ton Dawida, aby śpie
wał dzieła Najwyższego, czyli ulża bolejącej du
szy swojej, po stracie najlepszej Córy, w tre
nach melancholicznych i słodkich, czyli Sła
wiańskiej Muzie przyswaja Pindara Rzymskiego,
czyli nakoniec natchniony, uwiecznia Rodaków
bohaterskie czyny, zawsze uczuciami bogoboj
ności, prawości i cnoty oddychają słodkie jego
rytmy, zawsze mowę ojczystą, do najtajniejszych
przybytków piękności Poezyi, mistrzowską rę
ką wprowadza.

Nieśmiertelny Cieniu! zachwyceni wdziękami
twojej lutni; nieprzestaniemy pielęgnować w ser
Dziedzilija Tom II. Nr. 4.

cach najtkliwszego hołdu dla twojego imienia; i uczuć, które najskromniéj podałeś, jako wzór pokoleniom następnym; przez te złote słowa, brzmiące w ustach, i wyryte na sercu każdego poczciwego człowieka:

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi:

Tegoć niewydrze nieprzyjaciół srogi,

Niespali ogień: niezabierze woda;

Nad wszystkim inném panuje przygoda.